

# Otwarci, czyli silniejsi

**Wielokulturowa i antydyskryminacyjna edukacja historyczna jako budulec tożsamości nowoczesnego Polaka, a zarazem klucz do zrozumienia współczesnego świata**

„Każdy wędrowiec, choć wybrał swój los i nie zamieniłby go na inny, ma taką chwilę, kiedy przechodząc przez wieś o zmierzchu i widząc przez okno izbę, gdzie rodzina zasiada do stołu w kręgu lampy, odczuwa strach przed przyszłością, żal za przeszłością i niepewność, czy wybrał właściwie. Wtedy chciałby rzucić w szybę kamieniem. Na pozór po to, by zniszczyć obraz, który uważa za głupi i nedorzeczny. A naprawdę po to, żeby dodać sobie odwagi. Nie wie, że jednocześnie ktoś obserwuje go z głębi domu. Ktoś, kto widząc włóczęgę, zazdrości mu wędrowki, bo sam siedzi przez całe życie w tej samej izbie, cieplej i przytulnej, ale za to w bezruchu i nudzie. I ten ktoś ma ochotę wyjść przed dom i rzucić w wędrowca kamieniem. Pozornie z oburzenia

na niemoralne, bo bezpłodne życie włóczęgi, a naprawdę z zawiści i zemsty za swoją nudę. Dwa mijające się w locie kamienie – więc po co nimi rzucać? Lepiej niech każdy schowa swój kamień do swojej kieszeni. Po co wymieniać jeden kamień na inny? Dwa takie same kamienie”.

Sławomir Mrożek, autor tych słów, wyemigrował z Polski w roku 1963. Rok później, na obczyźnie, stworzył swe słynne „Tango”. Po polsku. Po kolejnej dekadzie napisał nie mniej słynnych „Emigrantów”. Także po polsku. We Francji nie oczekiwali, że zostanie Francuzem. W USA nie chcieli go przerobić na Amerykanina. W Niemczech też nie próbowali go asymilować. Podobnie we Włoszech i Meksyku.

Tak samo wcześniej Witold Gombrowicz nie został wybitnym pisarzem argentyńskim. W elitarnym gronie kandydatów do literackiego Nobla znalazł się jako pisarz arcykowski (choć dla wielu antypolski), w wiecznej polemice z polską tradycją, w rozedrganej debacie z aniołami i demonami polskiej kultury – choć na emigracji. Tak naprawdę nigdy nie zszedł ze swego „Trans-Atlantyku”.

Co najmniej od czasów Wielkiej Emigracji, od Mickiewicza, który stworzył w Paryżu „Pana Tadeusza”, biblię polskiej tożsamości (zaczynając się od „Litwo, ojczyzno moja...”), zdecydowana większość Polaków uważa za zupełnie naturalne, że gdziekolwiek rzuci nas los – pozostajemy Polakami. Mamy prawo, ba, moralny i historyczny obowiązek, pielęgnować swój język, swe tradycje, swą kulturę, umacniać tożsamość i przekazywać ją kolejnym pokoleniom.

Według szacunków Stowarzyszenia Wspólnota Polska, poza ojczyznę mieszka dziś nawet 21 milionów Polaków i osób pochodzenia polskiego – jedna trzecia z nich to Polacy urodzeni i ukształtowani nad Wisłą, reszta to osoby o różnym stopniu więzi z polskością.

Równocześnie, w wyniku Holokaustu i tragicznych wydarzeń po II wojnie oraz w następstwie historycznej opowieści wbijanej do głów obywatelom PRL przez komunistyczne władze, kilka pokoleń Polaków wyrosło w przekonaniu,

że Polska jest krajem monokulturowym, jedno-narodowym – i że to bardzo dobrze, bo przedwojenna wielokulturowość była źródłem samych tylko problemów: społecznych, gospodarczych, językowych, religijnych itd.

Przełom 1989 roku miał wymiar nie tylko gospodarczy, ale i cywilizacyjny – w tym kulturowy. Polska otworzyła się na świat i świat zaczął do nas przyjeżdżać. Ten współczesny – i ten z ogromnym bagażem przeszłości i wspomnień: o miejscach, ludziach i czynach. Zaczęliśmy na nowo opowiadać swoją historię, a więc i dzieje relacji z tymi, którzy współtworzyli wraz z nami Pierwszą i Drugą Rzeczpospolitą oraz relacji z naszymi sąsiadami. Relacji polsko-żydowskich, polsko-niemieckich, polsko-ukraińskich, polsko-białoruskich, polsko-czeskich...

W ostatnich latach to „opowiadanie historii na nowo”, uczenie się siebie nawzajem, zyskało nowy kontekst. Oto z jednej strony u bram europejskiej Wspólnoty, której jesteśmy członkiem, stanęły miliony – takich jak my kiedyś – nie-szczęśników z krajów upadłych, zrównywanych z ziemią przez wojny, rządzonych przez krwawych dyktatorów (potencjalnych lub realnych ludobójców) lub po prostu głodzonych na śmierć w efekcie kolonialnych grabieży (kiedyś) i zmian klimatu (obecnie); należy się spodziewać, że przybyszy z takich zakątków świata będzie w kolejnych dekadach przybywać.

Z drugiej strony – Polska stała się nieoczekiwanie głównym kierunkiem wewnątrzkontynentalnej wędrówki ludów: w ciągu trzech lat przybyło do nas za chlebem od dwóch do nawet trzech milionów samych tylko Ukraińców. Część na chwilę, ale spora część – chyba – na stałe. Legalnie pracujących było w połowie 2019 roku ponad 600 tys. przybyszów z Ukrainy. Lawinowo przybywa także Białorusinów, Rosjan, Mołdawian i obywateli innych krajów Partnerstwa Wschodniego. Przyjeżdżają nie tylko do pracy, ale i pobierają się, w Polsce rodzą się ich dzieci, które wysyłają do polskich szkół.

Teraz ciągną do Polski Nepalczycy, Hindusi, Banglijczycy, a w ślad za nimi obywatele 36 innych krajów azjatyckich. Do połowy 2019 roku legalne zatrudnienie nad Wisłą znalazło 40 tys. Azjatów. To ledwie ułamek chętnych i zdecydowanie mniej, niż gotowi są przyjąć polscy przedsiębiorcy. Ale populacja ta błyskawicznie rośnie – w tempie 50 proc. rocznie. Najostrożniejsze szacunki organizacji pracodawców mówią, że do połowy następnej dekady polska gospodarka – z przyczyn demograficznych (starzenie się społeczeństwa, szybki ubytek osób w wieku produkcyjnym) potrzebować będzie 1,5 mln cudzoziemców. W perspektywie ćwierćwiecza może to być nawet 5 mln.

Pytanie, czy jesteśmy na to gotowi. Na ile nasz monokulturowy i monoetniczny sposób rozumowania, ba – postrzegania własnych dziejów

(czy przeciętny Polak, w dowolnym wieku, potrafi rzeczowo, odwołując się do historii Rzeczypospolitej, wyjaśnić, skąd wzięło się w Inwokacji „Litwo, ojczyzno moja”?) i własnego tu i teraz udało się zmienić w ostatnich latach? I co trzeba (wypadałoby?) zrobić, by taka zmiana realnie nastąpiła?

W nauczaniu historii XIX i XX wieku wciąż uderza podejście faktograficzne. Akcent w nim kładziony jest na to, że coś się wydarzyło, a nie na objaśnianie, dlaczego się wydarzyło. Szukanie dziejowych kontekstów, łączenie faktów, zgłębianie wiedzy o mechanizmach sprawowania władzy, instrumentach propagandy czy wykluczania – to wciąż rzadkość w polskich szkołach, od podstawowych po wyższe. Tymczasem dla zrozumienia teraźniejszości wręcz niezbędna jest umiejętność rzeczowego porównywania i konfrontowania różnych wydarzeń z przeszłości oraz zestawiania ich z wydarzeniami i sytuacjami obecnymi. Komparatystyczne podejście zdaje się być kluczem do zrozumienia świata. Bez niego fakty, nawet te najlepiej „zakute”, pozostaną niczym puzzle bezładnie rozsypane po całym domu.

Podstawowym pytaniem każdego nauczyciela historii powinno być: po co właściwie uczyć? Czy po to, by młody wiedział, w którym roku Mickiewicz napisał „Pana Tadeusza”, Gombrowicz – „Trans-Atlantyk”, a Mrożek – „Tango”, czy też po to, by znał odpowiedź na pytanie – dlaczego tworzyli na obczyźnie. I co to oznaczało

dla ich polskości? Oraz jak czuli się jako – Inni? A także - jak pozwolono im się czuć i dlaczego? Albo: jak czuli się w Rzeczypospolitej Julian Tuwim, Bolesław Leśmian, Antoni Słonimski, Marian Hemar, Jan Brzechwa, Bruno Schulz i inni geniusze – ze swą żydowskością („My, Żydzi polscy...”) i jednocześnie polskością, a właściwie – arcy polskością, bo ich zasług dla polskiej kultury nie da się przecenić.

Stawianie takich pytań – dotyczących z pozoru przeszłości, a przecież tak naprawdę aktualnych (tylko trzeba to sobie i innym uświadomić) jest wyjątkowo ważne pośrodku Europy, która – z wyjątkiem lokalnych konfliktów – od 70 lat nie doświadczyła wojny. Wojny – będącej ważnym składnikiem tożsamości - duszy, myślenia, emocji – niemal wszystkich poprzednich pokoleń. Stąd wielu Europejczykom może się wydawać, że wojny nas nie dotyczą; toczą się „gdzieś w Afryce”, „gdzieś w Azji”, ale nie u nas. Nawet, jeśli w epoce mediów społecznościowych i błyskawicznej telekomunikacji, śmierć wyziera z ekranów telewizorów i smartfonów – wydaje się „nietutejsza”, abstrakcyjna. A wraz z nią abstrakcyjne są problemy wynikające z wielkich ludzkich tragedii i hekatomb.

Przez to wydajemy się mentalnie i emocjonalnie bezradni wobec całkiem realnych skutków tychże, z którymi coraz częściej musimy się mierzyć. Kryzys uchodźczy, miliony nędzarzy u bram sytego Zachodu, miliony przybyszy ze

Wschodu szukających w Europie chleba i nadziei – dla siebie i swych dzieci, miliony kolejnych – oglądających na co dzień nasz dobrobyt na ekranach wszechobecnych smartfonów... To wszystko – jest.

Na ile my, mentalnie wciąż w przewodze monoetniczni, potrafimy się mierzyć z tym „jest”.

Na ile nasz kulturowy i religijny prześniony monolit umie się otworzyć na Innego – i uznać go za Swego? Na ile w tym otwarciu pomagają – lub mogą pomóc – istniejące mniejszości narodowe: Białorusini, Czesi, Litwini, Niemcy, Ormianie, Rosjanie, Słowacy, Ukraińcy, Żydzi oraz etniczne: Karaimi, Łemkowie, Romowie, Tatarzy. Ze swą historią. W tym historią relacji polsko-...

I jak my postrzegamy przymiotnik „polski”. Etnicznie czy obywatelsko? Bo jak etnicznie, to będziemy mieli skłonność Innych asymilować, wierni peerelowskiej metatezie o wyższości monokulturowości nad wielokulturowością. A zarazem – żyjący w paradoksalnym przekonaniu, że Polak na obczyźnie, czy to na Ukrainie, czy w Bangladeszu, ma święty obowiązek pozostać Polakiem, natomiast Ukrainiec i Banglanin osiedlający się w Polsce ma święty obowiązek zostać... Polakiem.

Nauczanie historii może takie rozumowanie umacniać – albo proponować coś innego: zrozumienie skomplikowanych własnych dziejów

splecionych z dziejami naszych współobywateli i współbraci z innych nacji i innych grup etnicznych. To wyjątkowo istotne rozróżnienie w czasach, gdy w Polsce i Europie na powrót tężeją nacjonalizmy i grupy skrajnie radykalne – odwołujące się do prostych „prawd” i „odpowiedzi” – bez zadawania żadnych pytań.

Pytania, także te o arcybarwną przeszłość Rzeczypospolitej, zdają się być „passe”. W oficjalnym, nieomal mainstreamowym przekazie, hołubiony jest monoetniczny i monokulturowy, w pełni czarno-biały, mit. Na nim ufundowana jest tzw. polityka historyczna. Wśród jej piewców próżno szukać refleksji, że próba unieważnienia Wielkich Pytań o Polskość i jej relacje z Innymi, wiodąca ku wielkiej niewiedzy o własnych dziejach, czyni nas bezbronniymi wobec wyzwań teraźniejszości.

Tylko wyedukowane społeczeństwa mogą stawić czoła tym wyzwaniom – w tym ruchom i ideom będącym od zarania zarzewiem wojen, konfliktów i innych nieszczęść. Potrzeba nam edukacyjnej pracy u podstaw. Wrocław jest tutaj niezwykle pozytywnym przykładem dla innych. Projekt „Edukacja w Miejscach Pamięci” buduje most między przeszłością i teraźniejszością. To most do społeczeństwa otwartego i tolerancyjnego, szanującego ludzi o innej kulturze, religii. A zarazem fenomenalny dowód na to, iż taka otwartość nie czyni nas słabszymi. Przeciwnie: stajemy się silniejsi. Poznanie miejsc, wydarzeń, postaci świadczących o bogatej historii Polski i regionu niepomiaralnie wzmacnia poczucie samoświadomości i tożsamości narodowej młodych Polaków, a jednocześnie przygotowuje do mierzenia się z wyzwaniami współczesnego świata.

**Alicja Bartuś**

**Alicja Bartuś** – doktor nauk humanistycznych w zakresie nauki o polityce. Wykładowczyni w Instytucie Naukowym Bezpieczeństwa w WSB w Chorzowie; kieruje Oświęcimskim Instytutem Praw Człowieka. Specjalizuje się w komparatystyce mechanizmów zbrodni ludobójstwa i zbrodni totalitarnych XX w. Autorka wielu projektów związanych z edukacją o Auschwitz i działaniami na rzecz praw człowieka; redaktorka wielu publikacji oraz książek m.in.: Człowiek wobec totalitaryzmu. Od prostych recept do „ostatecznego rozwiązania”; Słowa w służbie nienawiści; Granice wolności; Europa wobec wyzwań XXI wieku; Kobiety wojny; Od wyzwolenia do pojednania; Dzieci wojny.